№ 88. Warszawa, Wtorek 14 (26) Września 1876 r. Rok I.

WARUNKI PRENUMERATY.
w Warszawie:
Rocznie rs. 4. półrocznie rs. 2, kwartalnie rs. 1, miesięcznie kop. 35.
Za odnoszenie do domu, dopłaca się kopiejek 5 miesięcznie.

ANTRAKT

GAZETA TEATRALNA

WARUNKI PRENUMERATY.
na Prowincji:
Rocznie rs. 6, półrocznie rs. 3, kwartalnie rs. 1 kop. 50.
Numer pojedynczy kop. 5.

wychodzi codziennie, nie wyłączając Niedziel i Świąt.

BIURO REDAKCJI, oraz KANTOR GŁÓWNY i EKSPEDYCJA ulica Krakowskie-Przedmieście Nr. 415 (15) w Pałacu, Hr. St. Potockiego.

Dziś św. Cypryana Męczennika.
Jutro św. Kosmy i Dmiana.

× Ciężki jest żywot początkującej, prowincjonalnej aktorki.

Nędza, intrygi, a w ostatku i pewien cień na dobrej sławie—wszystko to, w tak nierozdzielny sposób połączone jest z jej stanowiskiem,—że doprawdy, trzeba wielkiego poświęcenia dla sztuki, ażeby uczciwej kobiecie wziąść na wątłe ramiona, cały ten smutny, a nieraz i ohydny ciężar.

Oto fakcik:

Byliśmy niedawno w jednym z publicznych zakładów, uczęszczanych przeważnie przez młodych „szykowców. Przy jednym ze stolików, siedziało kilku „zdechlaczków“ w paltotach ostatniej mody i z binoklami na nosach. Jeden z nich rozparłszy się bez ceremonji w krześle, opowiadał głośno swoje przygody z dnia poprzedzającego.

...Wieczorem—kończył obojętnie, ów szykowny młodzieniec—poszedłem do ogródka a po przedstawieniu, wziąłem pannę Y na kolacyjkę... rozumie się w oddzielnym gabinecie. No, pojmujecie—panowie.

Tu, po wymuszenie zimnej jego twarzy przebiegł lekki uśmiech.

W tej chwili, od jednego z bocznych stolików, powstał nie młody już jakiś mężczyzna, podszedł zwolna do opowiadającego i położył mu rękę na ramieniu.

Nagle zrobiła się cisza.

— Powtórz pan, raz jeszcze to, coś przed chwilą powiedział...

Ależ... „pardon... monsieur... que vous...“ jąkał zbity z toru zdechlaczek.

— Nie powiesz pan tego, po raz drugi boś skłamał bezczelnie — rzekł ów nieznajomy z większą już gwałtownością... Panowie! dodał, zwracając się w koło, wzywam was na świadectwo, że ten tu chłystek skłamał—że nie powtórzy swojej podłej potwarzy...

— „Pardon .. monsieur...“ wyszeptał znowu, przerażony już dobrze zdechlaczek.

— Co do mnie, ozwał się dalej obrońca, dodam to tylko, że wczoraj wieczorem po widowisku w X. sam osobiście odprowadziłem pannę Y, wraz z jej matką do ich mieszkania i że... jestem krewnym tych uczciwych kobiet.

Nie będziemy dalej opisywać tej sceny, zakończonej fatalną porażką oszczercy. Nie zawsze jednak, niestety, znajdują się pod ręką krewni obmawianych niesłusznie aktorek ogródkowych. No, prawda, że nie zawsze też i one bywają obmawiane niesłusznie.

—

× Pp. Doroszyński i Terenkoczy, nie ustają w sumiennej a pożytecznej pracy. W tych dniach nabyli oni podobno „Dworaków Niedoli“ p. Zygmunta Sarneckiego, sztukę premjowaną na konkursie warszawskim i mają zamiar wystawić ją w Poznaniu.

—

× W dniu wczorajszym rozpoczęły się już wykłady nauk w Warszawskim Cesarskim Uniwersytecie. Saski Ogród opustoszał po zamknięciu letniego teatru. Tylko smętne chórzystki i kordebaletki, suną zmęczone kroki po pustych alejach —tylko wróble jeszcze gdzieniegdzie świegocą—i smutno, cicho do koła...

—

× W tych dniach, większa część kosztownej i prawdziwie pięknej garderoby teatru Włoskiej Opery w Petersburgu, zupełnie prawie zniszczoną została; podobnemuż zniszczeniu uległo także i wiele partytur muzycznych. Przyczyną tego wypadku było to iż łożmajster uporządkowawszy garderobę jednego ze śpiewaków, zagasił lampę lecz zapomniawszy zakręcić kranu od wodociągu, zamknął drzwi na klucz i wyszedł. Nazajutrz z rana, spostrzeżono istny potop na kurytarzach za sceną, woda przeciekła i do głównej garderoby w której złożone były, na posadzce, wszelkie stroje, kostjumy męzkie i kobiece, oraz partytury oper i t. d. Wszystko to zamokło zupełnie i do użytku przydatnem już być nie może—przynajmniej na scenie Petersburgskiej opery.

—

× Smutnym jest wielce stan naszych rzemieślników, pod względem umysłowym i moralnym. I nic dziwnego—któż u nas do rzemiosła się garnie? Oto ci, których wykształcenie i wychowanie, jest w najwyższym stopniu zaniedbane. Kontyngens rzemieślniczy rekrutuje się u nas z proletarjatu. Chłopak dziesięcioletni, pod naciskiem nędzy idzie do szewca, gdzie zamiast nauki wykładowej, pobiera „okładową“ a rzemiosło jego ogranicza się na przynoszeniu czeladnikom wódki, przekąski i piwa. Czeladnik chce zaraz dać uczuć nowicjuszowi swą władzę—pastwiono się nad nim gdy był takimże chłopcem—posługaczem, chce więc na biednej istocie, odbić przecierpiane razy. W terminie chłopiec nabywa wszelkich złych nałogów, w których dojrzewa przedwcześnie—krzywdzony, fukany, szturgany, bity, uczy się srogości i okrucieństwa. Majster lub czeladnik, nigdy do niego nie przemówi łagodnie, lecz jakimś zwierzęcym językiem, z dosadnych energicznych epitetów złożonym. W takich to warunkach życia, spędza chłopiec kilka lub kilkanaście lat—dopóki nie „wyzwoli się“ (słowo doskonale jego niewolę określające) na czeladnika. Czyż można myśleć o nauce w dwudziestym roku życia? To trochę za późno. Czeladnik woli wypić w bawarji kufelek piwa niż pójść na odczyt dla ludzi jego stanu przygotowany, a kosztujący tylko 5 kopiejek. Z jednej też strony ciemnota, z drugiej gburowatość—czynią z naszego rzemieślnika figurę rażącą, zacofaną, nieprzyzwoitą, z którą wszelki stosunek staje się przykrym. Idziesz ulicą, potrąca się rzemieślnik, gdyż nie ma on najmniejszego wyobrażenia o prawach towarzyskich. „Grzeczność“ poczytuje za wyraz czczy, i nie chce mu hołdować, gdyż według jego pojęcia, ubliżałby tem swojej godności osobistej, dla której, rzecz osobliwsza, ma wielkie aż do zbytku poszanowanie. O wartości umysłowej tych postaci, niema co i mówić. Jesteś na jakim dramacie wzruszającym nerwy, i w chwili gdy artysta wypowiada z zapałem piękną apostrofę rozgrzewającą ci piersi —lub czułą tyradą łzy z oczu wyciska—słyszysz po za sobą jakiś śmiech, któremu towarzyszy płaski koncept. Odwróć się, a spostrzeżesz śmiejącego się idjotycznie rzemieślnika. A już w bawarjach, ogródkach, i w ogóle w miejcach zebrań publicznych, nieobyczajność tych panów przekracza wszelkie granice. Probowano już u nas rozmaitych środków, mogących wpłynąć na okrzesanie klas rzemieślniczych—wychodzi nawet jeszcze dotąd, poświęcona im i doskonale redagowana „Gazeta przemysłowo-rzemieślnicza“. Cóż z tego—kiedy nikt jej nie czyta. Pan Majster, zamiast zachęcać swych podwładnych do korzystania ze światła nauki, chciałby je ukryć pod korcem—a na odczyty żżyma się mówiąc: „To głupstwo i zawrót głowy—ja czytać i pisać nie umiem, a żyję i chleba mam dość, z łaski Boga“. Czeladź musi słuchać pryncypała, dla tego też i gazeta niema z niej prenumeratorów, ani odczyty słuchaczów.

Nie mamy też prawie intelligentnych rzemieślników, tylko automatyczne figury, dla których wystarcza stara rutyna.

—

× W tych dniach nadszedł na Wystawę tutejszego towarzystwa Sztuk Pięknych, z paryzkiego salonu, „Kopernik“ W. Gersona, którego „Estera“ znajduje się jeszcze pomiędzy nielicznemi okazami sztuki naszej w Filadelfii.

—

× Młodzież nasza jest bardzo dojrzała...

Jako przykład takiej dojrzałości, przytaczają nam powiastkę o pewnym uczniu, wyższych klass jednego z średnich zakładów naukowych, który, ni mniej ni więcej, tylko chciał wprowadzić w użycie, w klasie, i to podczas lekcji... *cri-cri*.

Ma się rozumieć, że rezultat tej próby zakończył się... smutnie—pododno na... cri! cri! także.

—

× I Warszawa ma swojego Romea i swoją Juljettę!

W tych dniach rozegrał się następujący dramat:

Do mieszkania matki Romea wszedł tenże, wraz z Julją.

Mama Romea była bogatą, Julja zaś ubogą. Dla tego też pierwsza ani słyszeć nie chciała o małżeństwie Romea z Julją i nie przyjęła wizyty kochanków. Zaczekali w przedpokoju.

Ztąd, przez służącą, posłał do matki bilet takiej, mniej więcej, treści:

„Mamo ukochano! Nie żądam majątku, praca wystarczy na utrzymanie moje i Julji.

Jeżeli do godziny 1-ej, nie otrzymamy twojego błogosławieństwa... udaję się ztąd prosto na Powązki i tam przy grobie ojca, strzelę sobie w łeb..."

Julja przeczytała przez ramię bilecik...

Romeo! zawołała. Raczej mnie pierwiej zastrzel!... Sam zaś, żyj szczęśliwy.

— Czekajmy fatalnej godziny — odparł Romeo.

Wybiła pierwsza.

Z przedpokoju wychodzi mama, z przeciwnej zaś strony, rządca domu w towarzystwie dwóch silnych zamiataczy ulic.

— Panie!—rzekł rządca,—posiadasz broń, proszę mi oddać ją, w przeciwnym bowiem razie, zaaresztuję pana.

— Jakie prawo masz pan aresztować mnie? Jestem obywatelem, znajduję się w mieszkaniu mej matki.

— Romeo! Oddaj broń, ja tak chcę!— zawołała mama.

— Żadnej broni przy sobie nie mam...

— Słowo honoru!

— Słowo.

— Proszę cię więc,—rzekła matka, — idź do domu, i wybij sobie z głowy romanse; błogosławieństwa mego na związek ten nie uzyskasz. Ciebie zaś Juljo, proszę także, wytłumacz memu synowi, iż związek ten jest niepodobny...

— Pani! jęknęła Julja.

— Zresztą.. poczekajcie trochę, jesteście młodzi—jeżeli miłość wasza okaże się prawdziwą i wytrwałą—zobaczymy.

Romeo i Julja, pożegnawszy matkę, wyszli.

Niestety! Błogosławieństwo matki Romea okazało się niepotrzebnem, gdyż wkrótce potem, Julja w skutek fatalnej pomyłki, napiwszy się zamiast wody, pewnej trującej substancji, umarła po kilkudniowych cierpieniach.

Romeo pozostał, i żyje dotąd niepocieszony.

—

× Znany filolog i literat, p. Feliks Jezierski, wiele w ostatnich czas pracował na polu przekładów. Przekład Fausta Getego, dopełniony przezeń, ma podobno niedługo ukazać się w Bibliotece najcelniejszych utworów Literatury Europejskiej p. Lewenthala. Prócz tego, podjął się pan J. po Dmochowskim, przekładu Iliady Homera. Zdaje się nam, że tłumacz Ewangeliny i Dumy o Hiawacie, a zarazem tak zaszczytnie już znany filolog, będzie w możności wypełnić tak trudne nawet zadanie.

—

× Pan Jan D. był wydawcą, pan Władysław A. literatem.

Wydawca—nie odznaczał się zbyt wielką skrupulatnością przy wypłacie należności, za dostarczane mu artykuły przez literatów, którzy odbywając napróżno, przez kilka miesięcy, exkursje do jego pomieszkania, wyrzekali się w końcu swych pretensyj.

Władysław był utalentowanym autorem, i pan Jan wydając kalendarz, dla okrasy tej publikacji, inwitował go o napisanie odpowiedniego artykułu.

I stanęła między niemi, najprostsza umowa, że pan Władysław na ten i ten dzień, złoży rękopism, za który pan Jan zapłaci mu *zaraz* rubli dwadziescia.

Władysław stawił się w dniu oznaczonym—wydawca przywitał go uradowany.

— Przynoszę panu zamówiony rękopism, rzekł literat, wręczając swą pracę.

— Dziękuję, bardzo dziękuję — odrzekł wydawca. Jak widzę, rzecz ładnie obrobiona; już to pan mistrz jesteś w takich robotach, tylko...

— Co takiego?

— Tylko... kochany panie, źle trafiłeś—kasa u mnie pusta.

— Przecież pan sam termin oznaczałeś.

— To prawda, lecz przed godziną musiałem zapłacić za papier 600 rubli—ale, czekajno pan, jeszcze uzbiera się coś może—oto połowa należności, rzekł wyjmując czerwony papierek z pugilaresu—weź to drogi panie, a za kilka dni zgłoś się po resztę.

Władysław nie jedno już frycowe opłacił—wziął przeto dziesięć rubli, schował do portmonetki, potem biorąc rękopism leżący na stole, rozdarł go na dwie równe części, z których jednę zatrzymał, a drugą złożył wydawcy, mówiąc z najsłodszym uśmiechem:

— Odebrałem od pana połowę należności i składam połowę rękopismu.

Pan Jan wytrzeszczył oczy.

Jakto? rzekł, nie rozumiem...

— Rzecz jasna:—za kilka dni obiecałeś mi pan zapłacić drugie dziesięć rubli — otóż przyjdę po nie z tą drugą połówką.

— Ależ panie... czy mi nie ufasz pan?

— Najzupełniej kochany panie—ale przecież wszyscy jesteśmy śmiertelni. No żegnam pana.

— Za pozwoleniem, rzekł wydawca, zaczekaj pan. Kiedy już inaczej być nie może, to bierz pan ostatnie dziesięć rubli jakie posiadam—proszę o resztę rękopismu.

Pan Władysław na to tylko czekał, pieniądze odebrał, drugą połowę rękopismu panu Janowi wręczył—i pożegnał starego szpaka śmiejąc się pod wąsem. „In rebus est modus".

—

× Po raz setny powtórzyć musiemy, że nadzór nad dziećmi, już podrosłemi nawet, powinien być bardzo ścisły. Nie dawno, naprzykład, jakiś chłopczyk jedenastoletni, zamieszkały przy ulicy Pańskiej, znalazł był na jakimś placu, ładunek karabinowy—co wreszcie, podczas teraźniejszych przechodów wojska, łatwo przytrafić się mogło. Otóż, uważając ten nowoczesny ładunek, za prosty kapiszon większego rozmiaru, chłopczyk ów chciał zabawić się z nim w taki sam sposób, jak to czynił dawniej z kapiszonami zwykłemi. Położył więc ładunek na kamieniu i uderzył weń młotkiem. Rozumie się, że w tej chwili nastąpiła explozja — szczęściem jednak wypadek zakończył się tylko na popękaniu szyb w oknach.

—

× — *Żona.* Mój drogi—bądź łaskaw, kup mi wody Lapriera.

— *Mąż.* Chcesz odmłodnieć?... Po co? tyś i tak jeszcze dość świeża.

— Widzisz duszko—chciałabym się zakonserwować.

— Dobrze—kupię ci tej wody ale pod warunkiem, że nie dasz z niej ani kropelki twojej matce.

⊙ W Amsterdamie bawi obecnie znany w Warszawie wiolonczelista, p. Hollman.

—

⊙ W Paryżu zmarł w tych dniach, znakomity wirtuoz i nauczyciel, fortepianista Ernest Lubeck.

—

⊙ Na Polach Elizejskich mieszkał robotnik z żoną i dziećmi. Przed tygodniem w nocy, ktoś zapukał silnie do drzwi jego pomieszkania. Człowiek ten wstał i drzwi otworzył, lecz jakież było jego zdziwienie, gdy na progu znalazł dziecię w kołysce, z uwiązaną butelką mleka i kartką przypiętą do poduszki.

Kartka ta polecała mu w opiekę dziecinę, upewniając o sutem wynagrodzeniu za ten czyn miłosierny. Nadmieniała przytem, że dziecię pochodzi ze szlachetnego rodu i przyjdzie czas, że odebranem zostanie przez matkę, która obecnie przyznać się do niego nie może. Podpis składał się z jednego tylko słowa: „Marja".

Robotnik obawiając się jakiej odpowiedzialności przed władzą, zaniósł nazajutrz dziecię do biòra policji. Tu niestety, po odebraniu dziecka odesłano je do domu podrzutków. Ulitowała się jednak nad tem opuszczonem maleństwem, pani Lyons, żona dozorcy tego zakładu, i wzięła dziecię do swego domu, opiekując się niem z taką troskliwością, jakby była rodzoną jego matką.

Czy też kiedy usunięte zostaną przeszkody, niedozwalające nieszczęśliwej, nieznanej matce, przycisnąć do piersi swe dziecię? A może też owa informacja o wysokim rodzie dziecka i bogactwie matki, była tylko zachętą dla chciwego opiekuna, bo wreszcie matka bogata, mogłaby była odrazu zamiast obietnic, dołączyć do butelki z mlekiem jakiś woreczek ze złotem.

—

⊙ W Stadtheater w Wiedniu, dawano onegdaj, po raz pierwszy, komedję Barriera p. t. „Kopciuszek", która otrzymała wielkie pochwały krytyki miejscowej i huczne oklaski od tłumnie zebranych widzów.

—

⊙ Jan Guerr'e dwudziestopięcioletni młodzieniec, w gminie Montresson (Loiret) zamieszkały, 20 b. m. miał połączyć się węzłem małżeńskim z piękną jak anioł dziewczyną. W przeddzień wynajęta furmanka, zajechała przed dom nowożeńca, który ze swym drużbą i przyjacielem Jonatem, oraz swemi rodzicami, wsiadł do bryczki promieniejący nadzieją przyszłego szczęścia.

Podróżnym wypadało przeprawiać się przez kanał Loiny, na którym zbudowano mocny most drewniany, lecz pozbawiony barjery.

Przy samym końcu mostu, konie skręciły ku prawej stronie—woźnica skarcił je biczem usiłując zwrócić w przeciwnym kierunku, lecz jeden z koni dał dęba, w skutek czego bryczka cofnęła się nagle, i runęła wraz z podróżnymi w kanał.

Nastąpiła straszliwa katastrofa. Jan Guerr'e z Jonatem napróżno walczyli z żywiołem wodnym—pochłonęła ich fala — rodziców pana młodego wyratowano szczęśliwie, a woźnica winien był swe ocalenie jedynie przytomności swego umysłu, gdyż uczepiwszy się koła od bryczki, dotrwał do końca. Konie potopiły się—bryczka połamała. Zwłoki Guerre'a i Jonat'a, na drugi dzień dopiero wydobyto z wody.

Czyż szczęście, nie jest bańką mydlaną, znikającą w chwili, gdy najżywszemi barwami promienieje?

TEATR WIELKI.

Dziś we Wtorek dnia 14-go (26-go) Września 1876 roku.

DRAGONI VILLARSA

Opera w 3-ch aktach, libretto pp. Lockroy i Cormon. Muzyka MAILLARTA.

Thibaut, kolonista — — —	Pan Ziółkowski.
Pani Thibaut, jego żona — —	Pani Szlezygier.
Silwan, chłopiec folwarczny — —	Pan Filleborn.
Róża Friquet, biedne dziewczę wiejskie	P-na Matuszyńska.
Bélamy, wachmistrz dragonów — —	Pan Wasilewski.
Pastor — — — —	Pan Suszyński.
Porucznik — — — — —	Pan Borawski.
Żołnierz — — — — —	Pan Ruszkowski.
Wieśniaczka — — — —	Panna Pausebach.

Wieśniacy i Wieśniaczki—Kamizardy—Dzieci.

Rzecz dzieje się w jednej wsi górskiej Esterel, przy końcu wojny, w Cewennach.

TEATR ROZMAITOŚCI.

POZŁACANA MŁODZIEŻ

Komedja w 4-ch aktach, napisana przez Michała Bałuckiego.

Służkowski — — — — — — — —	Pan Rapacki.
Artur, jego syn — — — — — — — —	Pan Szymanowski.
Helena, jego córka — — — — — — —	Pani Mazurowska.
Ciocia Hortensja — — — — — — —	Pani Ostrowska.
Hrabia Jerzy — — — — — — — —	Pan Stolpe.
Hrabina Ida — — — — — — — —	Pani Nowakowska.
Alfred, kuzyn hrabiny — — — — — — —	Pan Prażmowski.
Funio — — — — — — — — —	Pan Grubiński.
Lunio — — — — — — — — —	Panna Gilska.
Munio — — — — — — — — —	Panna Oswald.
Jan Szczerba, adwokat — — — — — — —	Pan Tatarkiewicz.
Jakób, służący Służkowskiego — — — — — —	Pan Krogulski.
Stefan, lokaj Artura — — — — — — —	Pan Dąbrowski.
Lokaj hrabiny — — — — — — — —	Pan Tatarkiewicz S.

Rzecz dzieje się w mieście.

CENA MIEJSC ZWYCZAJNA.

Początek o godz. 7½ wiecz.

OGŁOSZENIA.

Дозволено Цензурою, Варшава 14 Сентября 1876 г.—w Drukarni M. Ziemkiewicza Krakowskie-Przedmieście Nr. 415.

Wydawca i Redaktor, Aleksander Niewiarowski.